

Opowieść z meandrami

Halina Niedzielska

Halina Niedzielska



DZIENNIKARKA z zamiłowania, chociaż czasem mówi, że z przypadku. Lubi się ukrywać przed okiem kamery, wyznając zasadę – „niech moje artykuły świadczą o mnie”. Wprawiała się w pisaniu na długich tekstach ekonomicznych, wykładając jednocześnie w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie; dziś SGH. Kocha przyrodę w dzikim stanie na weekendy i wakacje. Urodzona na prowincji, woli na co dzień wielkie miasto, a szczególnie Nowy Jork. Jako miłośniczka szlaków zaprasza chętnych na wycieczki piesze z „Nowym Dziennikiem” i amerykańskimi klubami turystycznymi. Niczego nie kolekcjonuje poza książkami.

Nie sposób wstąpić ponownie do tej samej rzeki. Nie uda nam się cofnąć w czasie, postrzegając oczyma dziecka nasze lata sielskie, anielskie. Z perspektywy życiowych doświadczeń przeszłość przypomina łamigłówkę, która ciągle się na nowo układa. Na szczęście w świecie refleksji nie obowiązują cztery wymiary. Łatwo się przenieść myślą do różnych okresów, dlatego też krótka opowieść o moim dzieciństwie będzie się toczyć meandrami.

Zacznijmy od dwóch domów, które stały nieomalże na przeciwległych skrajach rodzimego miasteczka. Żychlin – położony między Kutnem i Łowiczem – miał się wtedy czym pochwilić. Ładna i zadbana miejscowość stanowiła również ważny ośrodek przemysłowy, gdzie zatrzymywały się wszystkie pociągi pospieszne. Wyznaczając pionową oś, ul. Narutowicza dostosowywała swój wygląd do otoczenia. Przekroczywszy most na Słudwi, stawała się główną ulicą, kończąc się przy reprezentacyjnym ryneczku. Wznosiło się tutaj kilkanaście kamieniczek z połowy XIX wieku i zabytkowa wieża zegarowa. Górował nad nimi piękny kościół pod wezwaniem św.św. Piotra i Pawła, z wolno stojącą dzwonnica. Ulegał on przebudowie od końca XVIII wieku, nabierając ciągle nowego blasku.

Nieopodal znajdował się duży rynek, a niegdyś miejsce targowe. Odchodziło od niego kilka ulic, a w tym Sannicka, którą można by od biedy uznać za przedłużenie Narutowicza. Ostatni dom, pod numerem 25, należał do Różyckich, mojej rodziny po kądzieli.

Żychlin uzyskał swoją szansę w okresie międzywojennym, gdy szwajcarska firma Brown Boveri założyła tutaj fabrykę maszyn elektrycznych i transformatorów. Fabrykanci, którzy zamieszkali w pałacyku otoczonym parkiem, zadbali również o swoich pracowników. Pobudowali dla nich dość duże osiedle, zwane

nieformalnie Brombowery, które zaczynał jednopiętrowy dom, przeznaczony dla dyrekcji. Mieszkali tu dziadkowie Wakowscy, z którymi spędziłam później większą część mojego dzieciństwa i lata licealne, zanim wyjechałam na studia.

Ów niespotykany układ – moja mama przebywała na stałe z babcią Antosią na drugim krańcu miasta – budził długo pokątne zgorszenie. Ponieważ żyte ze sobą rodziny traktowały go jako rzecz naturalną, nawet największe plotkarki nie ośmieliły się pytać o powody. Dość wcześnie je poznałam i wydały mi się całkiem sensowne. Szczęśliwe dzieci rzadko kiedy kwestionują zastane rozwiązania.

Ponieważ nikt nie uwiecznił żadnego z domów na amatorskich zdjęciach, nie pozostaje więc nic innego jak je opisać. Drewniany domek na Sannickiej miał ładny ganek od frontu, który wychodził na mały ogródek kwiatowy, oddzielony płotem od ulicy. Pod spadzistym dachem, pokrytym papą, znajdował się strych; istna kopalnia skarbów z punktu widzenia dzieci. W sieni był piec chlebowy i wejście do ulubionej przez wszystkich kuchni, w której palono węglem. Prowadziła ona na pokoje, do których można też było wejść z przedsiionka. Wodę czerpano ze studni, kręcąc korbą. Jedyne udogodnienie stanowiła elektryczność i radio. Kąpieli zażywało się w niedużej wannie za zasłonką, biorąc prysznic z konewki.

Na zabudowania gospodarcze składała się murowana obora i stajnia, stodoła, chlew, kurnik i pomieszczenie dla wielkiego stada kaczek, które nie dożywały niedzieli, idąc kolejno na pieczone i czerninę. Całość była zamknięta niczym forteca. Na ulicę wiodła brama wraz furtką. Drugie wrota otwierały się na piaszczystą drogę. Ogród kwiatowy na tyłach posiadał altanę, obrośniętą dzikim winem. Tuż za nim ciągnął się wielki sad. Po drugiej stronie był warzywnik, a także poletko truskawkowe. Na łąkach pasły się konie i krowy. Staw, w którym przed wojną hodowano karpie, otaczał wał z rosochatymi wierzbami. Wewnętrzna droga szła poprzez łąny pszenicy i zagony buraków cukrowych. Odbylałam tysiące spacerów do krańca pola. A oprócz mamy nie zliczę osób, które mi towarzyszyły.

Na Sannickiej spędzałam wszystkie ferie i wakacje, większość niedziel po mszy świętej i liczne popołudnia. W ładną pogodę zakładałam na plecy szkolny tornister, oznajmiając babuni, iż po odprowadzeniu mamy z pracy, zostaję z nią na nocleg. Po drodze pukałam do okna białego domku, zapraszając do siebie jedną z przyjaciółek od serca. Przemierzałyśmy z Zosią podwórko na skakankach, grałyśmy w klasy, piłkę i wojnę. Repertuar zabaw się wzbogacał, gdy przyłączali się do nas rówieśnicy, co było raczej regułą. Znacznie później urządzałam na podwórku amatorskie przedstawienia i wieczorki taneczne. Powtarzałam jota w jotę dzieciństwo i wczesną młodość mamy i jej rodzeństwa. Do tej pory tęsknie wspominam uroczyste Wielkanoce i Boże Narodzenia, wydawane dla kilkunastu osób.

Przenosząc się z domu do domu, nie doświadczyłam kłopotów ze zmianą nastroju i sposobów spędzania czasu. U dziadków stawałam się kimś innym. Hala była tu Halunią, a więc nadgorliwą uczennicą, której – na szczęście – nauka przychodziła łatwo. Połykałam namiętnie książki, regularnie łamiąc pisemne zobowiązania, które kazały mi kończyć czytanie o godz. 22: 00. Tonęłam w zabawkach, wydając regularne herbatki dla lalek, na które zapraszałam koleżanki. O dziwo, w tej drugiej roli miałam dużo więcej kolegów. Zdobywałam ich sympatię, snując długie opowieści na podstawie książek Anczyca oraz z Dzikiego Zachodu według Karola Maya. Nieformalny klub książki z domowej biblioteczki działał na werandzie.

Babunia lubiła siedzący tryb życia, pograżając się w lekturach, po sumiennym wypełnieniu domowych obowiązków. Z kolei przybrany dziadek wolał ruch na świeżym powietrzu, prowadząc mnie na sanki, spacery i wycieczki piesze. Rozumieliśmy się w pół słowa, trzymając sztamę. Zbyt opiekuńcza babunia widziała we mnie dziecko wątłe i chorowite, wpadając w panikę przy lada katarze. Mając silny charakter, dążyła do podporządkowania sobie najbliższych. Jako osóbką uparta podświadomie pragnęłam tej samej niezależności, jaką cieszył się jej drugi mąż, Franciszek. Podjazdy i potyczki wygrywała raz jedna, raz druga strona, choć na ogół panował między nami permanentny stan zawieszenia broni. Babunia, do której byłam zresztą bardzo przywiązana, lubiła święty spokój, nigdy nie podnosząc głosu. Dopiero po usamodzielnieniu się zobaczyłam w niej skomplikowaną postać, rodem z XIX-wiecznej powieści. Mama, którą obrałam za nieosiągalny ideał, wychowywała mnie pośrednio, dając najlepszy przykład. Z kolei babcia Różycka, osoba do tańca i różańca, promieniowała pogodą ducha.

Dom pod numerem 71a miał także inną cechę, gdyż tu właśnie ulica Narutowicza szła łagodnie w górę w kierunku dość odległej stacji kolejowej, przeobrażając się w aleję, przedmiot dumy mieszkańców. Ocieniał ją długi szpaler starych kasztanów. Otynkowane na brudny róż domostwo tworzyło foremny czworobok. Ogródenie z kutego żelaza i duży teren, z czterema ogródkami dla każdego z pracowników, izolowały nas od sąsiadów. Tylko trawnik był wspólny. Na parterze, podobnie jak na piętrze, znajdowały się dwa mieszkania z wszelkimi wygodami. Do Wakowskich wchodziło się z korytarza na prawo.

Nie byłoby w moim życiu dwóch domów, gdyby nie małżeństwa dziadków, z jednej i drugiej strony, wojna, a także zmiana ustroju. Zaczniemy od tego, iż Ignacy Różycki nie mógł poślubić Antoniny z Orzechowskich, która wywodziła się z zaściankowej szlachty. Wyjechał więc do Ameryki, gdzie zatrudnił się jako drwal. Wrócił z pieniędzmi, zakupując osiem hektarów ziemi w Żychlinie. Młoda para osiadła na swoim, z dala od Orzechowskich. Chłop z ambicjami stał się tu społecznikiem, zakładając pierwszą spółdzielnię mleczarską w województwie łódzkim. Po jego przedwczesnej śmierci gospodarstwo przejął najstarszy syn Antoni, absolwent SGGW. Babcia Różycka kontynuowała raz ustaloną tradycję, prowadząc dom otwarty. Cztery piękne panny na wydaniu i trzech przystojnych kawalerów przyciągało gości jak magnes.

Mój ojciec poszedł na wojnę, zanim się urodziłam. Dziunia – od Władysławy – wróciła w domowe pielesze z niemowlęciem na ręku. Siłą rzeczy jako pierwsza wnuczka w rodzinie Różyckich byłam oczkiem w głowie na Sannickiej, czemu zawdzięczam swoje wady. Nie minęło trzy i pół roku, jak przyszła na świat Bożena, zwana Busią, córka cioci Stefy i Jerzego Rokickiego. Nawiązywałam z nią siostrzane stosunki dopiero podczas licznych wizyt, gdyż rodzice wywieźli ją w pieluchach na ziemię odzyskane.

Babunia, a więc Bronisława Drewnowska, wyszła za mąż za profesora, który wykładał matematykę w łódzkim gimnazjum. Pożycie układało się fatalnie ze względu na władcze charaktery obojga. Przyjście na świat Henryka, a po kilku latach – Władysława wcale nie poprawiło sytuacji. Po wielu zachodach i skomplikowanej procedurze, o której długo by opowiadać, niedobre małżeństwo zostało rozwiązane przez Kościół. Babunia wyszła nader szczęśliwie za Franciszka Wakowskiego, który zastąpił chłopcom ojca.

Jakże łatwo dzieci przejmują utajone resentymy dorosłych. Nigdy nie polubiłam rodzzonego dziadka Władysława, choć widywałam go kilka razy w roku. Nie potrafił nawiązywać kontaktów z dziećmi. Niepraktyczny intelektualista przytłaczał wszystkich uczonymi wywodami. Rozpierała go energia i nie mógł

usiedzieć w jednym miejscu, co wydawało mi się bardzo niepokojące. Odszedł, zanim zdałam małą maturę. Nie udało mi się rozpoznać jego zalet.

Cała rodzina przeprowadziła się do Żychlina, gdy dyrekcja Brown Bowery zaproponowała dziadkowi stanowisko inżyniera. Zatrudniony w fabryce Henryk zdobywał zawód pod kierunkiem Franciszka Wakowskiego. Poznał tutaj Marię Władysławę Różycką, w której zakochał się na zabój. Poślubił ją po długich konkurach, przed samym wybuchem wojny. Zostawiając małżonkę, Henryk przedostał się do Anglii, a ponieważ już od dawna nauczył się pilotażu, służył w dywizjonie bombowym 305, a później latał na myśliwcach w dywizjonie 306. Został strącony nad Londynem. Napawał mnie wielką dumą, choć znałam go tylko z opowieści.

Po ucieczce Mikołajczyka obie rodziny znalazły się w izolacji za nieprawomyślne poglądy. Dziadka Wakowskiego, który brał udział w kampanii przeciwko bolszewikom, zdegradowano do majstra w upaństwowionej fabryce. Antoni Różycki został uznany za endeka. Nie dało się gospodarować na ziemi, a mizerne dochody ledwo starczały na utrzymanie babci. Ani Helena, ani Dziunia nie miały zawodu. Ciocia Celina, czyli Likulla, od zbitki słownej ze znanej arii operetkowej, już nie żyła. Wujek Jerzy, który był już dyrektorem szczecińskiego okręgu energetycznego, zaprosił wtedy wszystkich do siebie, obiecując znalezienie pracy. Dziecko, czyli ja, musiało zostać z dziadkami.

Mama ukończyła tutaj kursy księgowo. Wróciwszy częściowo do łask – trudno było zepchnąć na boczny tor tak dobrego fachowca – dziadek załatwił mamie pracę biurową. Tymczasem babunia nie bardzo chciała wydać dziecko prawowitej rodzicielce, powołując się na bliskość szkoły, wygody, delikatne zdrowie wnuczki i jej przywiązanie do dziadka. Mama poszła na kompromis, nie wiedząc, że nie ma nic trwalszego jak tymczasowe rozwiązania. I tak już pozostało.